

Ludzie o ałmysich oczach

29 stycznia 2011



Gdzieś daleko w Rosji, w niedostępnym Ałtaju, leży wieś Jazula, której mieszkańcy szczycą się bardzo niezwykłymi zdolnościami, w które wyposażyła ich natura. Jak potwierdzili okuliści, ich wzrok jest kilkakrotnie ostrzejszy niż w przypadku zwykłych ludzi. Nie jest to jednak zwykła medyczna ciekawostka, lecz prawdziwe kuriozum, a miejscowi mają bardzo oryginalne wyjaśnienie na to, dlaczego się tak dzieje...

Do wsi Jazula jedzie się z Gornoałtajska długo Traktem Czujskim. Droga jest miejscami kręta, wąska, wiodąca nad przepaściami, wspinająca się na przełęcze, otoczona złą sławą wśród kierowców, ale na całej swojej długości pokryta asfaltem. W wiosce Aktasz, dokąd piaskowe burze zanoszą czasem pył porwany z pustyni Gobi, trzeba skręcić w lewo i przejechać przez Czerwone Wrota – ciasną szczelinę pomiędzy potężnymi skałami o barwie zakrzepłej krwi. Gościniec, bity, najeżony sterczącymi kamieniami, wcześniej bardzo kapryśny, tutaj wręcz wije się wąskim przesmykiem: nieuważnemu kierowcy zagraża upadek do wartko płynącego w skalnej szczelinie potoku. Scenografia w sam raz do filmu o Draculi. Dalej gruntowa szosa wiedzie brzegiem jeziora Czajbek, zwanego Martwym, bowiem jest ono bezrybne z powodu dużego stężenia związków rtęci, którą

kiedyś wydobywano w pobliskiej kopalni. Poza krótkim ałtajskim latem cała okolica sprawia wrażenie przygnębiające, miejscami krajobraz przypomina najbardziej ponure zakątki Szkocji. Po kilkudziesięciu kilometrach tundrową równiną i pokonaniu paru stromych przełęczy (przejazd tędy w warunkach zimowych bywa często niemożliwy) niespodziewanie wjeżdża się w gęsty sosnowy bór, a zaraz dalej otwiera się ciasna dolina, w której ulokował się Ułagan.

Dwu i półtysięczna osada, chociaż nawet według norm syberyjskich uchodzi za wieś dechami zabita, dla mieszkańców Jazuli jest nieomal Paryżem. Przy wjeździe do wsi zieleni się rozległa łąka: lipcowe słońce nagrzewa ją cały dzień i pyszny aromat, jakim przesycają powietrze tutejsze trawy, turzyce i zioła, z niczym innym nie da się porównać – to zdanie podziela każdy, kto przybywa do Ułaganu. Pośrodku pastwiska stoi kezer, kamienny bałwan z wczesnego średniowiecza, wyobrażający tureckiego wojownika. Głowę, w hełmie, i z groźnym, wąsatym obliczem, miał jeszcze dziesięć lat temu, ale stracił ją podczas ludowego festynu El Oin; wandale trafiają się wszędzie.

Mieszkańcy Ułaganu bardzo zaniepokoiли się dewastacją pradowej rzeźby. Kezery, zwane też często, choć błędnie, bo przedstawiają przecież wojów, „kamiennymi babami”, spotykane w wielu miejscach Europy i Azji, na Ałtaju występowały szczególnie często. Niemało tych pomników zniszczono, używając na przykład do wzmacniania nasypów szos, sporo też zabrano do muzeów, gdzie przeważnie dotąd spoczywają w magazynach.

– To nie tylko barbarzyństwo – mówi szamanka Dżana – ale także głupota i igranie z ogniem. Punkty, w których ustawiono wieki – a może i tysiąclecia temu – kezery, nie były wybrane przypadkowo. Lokalizacja kamiennych bab odpowiada punktom o anormalnej energetyce. Innymi słowy rzeźby są rodzajami odgromników, neutralizujących negatywne promieniowanie lub też, jak ktoś woli, wpływ złych duchów na ludzi.

Chcąc dotrzeć do Jazuli należy skierować się na wschód i posuwać wzdłuż kultowej rzeki Baszkaus.

W jakim sposób? Po tonącej w błocie bądź też pełnej głazów ścieżce, po stromiznach o karkołomnym kącie nachylenia, latem przejedzie jako tako dobre auto terenowe, najlepiej, jak to mówią w Rosji, „raszan džip”, czyli popularny uaz. Lecz tylko do osady Saratan. Bo dalej można wędrować jedynie tradycyjnym dla Ałtaju środkiem lokomocji – konno, wierzchem. Po pięćdziesięciu kilometrach jazdy na grzbiecie cierpliwego zwierzęcia, które pewnie stawia swoje cztery kopyta nawet na takich pochyłościach, gdzie człowiek miałby spore kłopoty z utrzymaniem równowagi, dociera się wreszcie do potężnej rzeki Czułyszman. Wystarczy tylko przeprawić się w bród przez rwący nurt, szeroki jak Wisła pod Wawelem, i – jest się już na miejscu.

Po co w ogóle wybierać się do zapomnianej wsi na krańcu świata? Zdawałoby się, że wystarczającą przyczyną jest absolutnie dziewicza przyroda, która w tej części ałtajskich gór wręcz olśniewa swoim przepychem. Jest jednak również inny powód: są nim mieszkańcy Jazuli, a raczej ich niezwykle właściwości. Warto zobaczyć tych ludzi.

Rzecz w tym, że wypatrzą przybysza znacznie wcześniej niż on ich.

Żaden z mieszkańców Jazuli nie posiada lornetki lub lunety, sprawdziłem to. We wsi nie ma także ani jednej pary okularów.

– Widzisz tę kozę, o tam? – pyta siedemdziesięcioletni Jan Kajmakow i wskazuje ręką na górę naprzeciwko. Widzę jakiś punkcik, który, kiedy nawet mrużę z całych sił oczy, w żaden sposób nie chce przypominać kozy.

– Jest szara, lewy róg ma nadłamany. A oczy bursztynowe. Na szyi resztki sznurka...

Chodzi o kozę, ale ja czuję się robiony w konia. Chwytam za

własną lornetkę i... wszystko się zgadza! Spoglądam na starca jak na magika, on uśmiecha się, a ja bez słowa odchodzę w stronę wsi. Po kilkudziesięciu metrach napotykam jakiegoś nastolatka. Pokazuję na zbocze góry, choć z tej odległości nie potrafię już rozróżnić tam żadnego punktu, szarego czy też jakiegokolwiek innej barwy.

– No, koza. – Chłopak przenosi na mnie zdumiony wzrok. – Ze złamanym rogiem... To chyba będzie Bajryszewów? – dodaje po chwili zastanowienia.

W Jazuli mieszka niecałe trzysta dusz – w większości są to Ałtajczycy, jest też parę rodzin Kazachów. Wieś leży ponad 2000 m n.p.m., zewsząd otoczona górami.

Niezwykłą właściwość wzroku mieszkańców Jazuli odkrył przed paroma laty Anatol Kołbasko, lekarz z Nowokuźniecka, który uczestniczył w programie badań kontrolnych prowadzonych na zlecenie władz Republiki Ałtaj.

– Myślałem, że śnię. Staruszkowie nawet widzą mysz z odległości pół kilometra – mówił wstrząśnięty okulista. – A co dopiero młodzi!

Początkowo badający jazulan Kołbasko sądził, że trafił przypadkiem na kilku osobników odznaczających się sokolim wzrokiem, a pozostali wieśniacy postrzegają świat dokładnie tak, jak wszyscy inni ludzie. Jego przekonanie wzmocniło się, gdy kolejni badani przez niego tubylcy w ogóle nie potrafili rozpoznać żadnych liter na tablicy. Ale lekarzowi zrzęda mina, kiedy wiernie narysowali te litery – okazało się, że po prostu nie znali rosyjskiego alfabetu.

Wyniki badań Kołbaski, potwierdzone potem przez innych okulistów, były szokujące: w Jazuli, niezależnie od wieku czy narodowości, wszyscy mieszkańcy posiadają wzrok dużo lepszy od przeciętnego. Rosyjscy lekarze określili go średnio jako dwustuprocentowy. W okulistyce polskiej najwyższa ostrość widzenia, sprawdzana przy pomocy tablicy Snellena, określana

jest zapisem 1,0. W tej skali przeciętny wzrok wieśniaków z Jazuli wynosiłby co najmniej 2,0, co oznacza, że najniższy rząd literek na tablicy okulistycznej potrafiliby spokojnie odczytać z dystansu sześciu i więcej metrów!

Generalnie wszyscy Ałtajczycy mają znakomity wzrok: znaczna część poborowych z Ałtaju jest szkolona na snajperów. Swego czasu podobno separatyści czeczeńscy grozili przeprowadzeniem zamachu terrorystycznego w Gornoałtajsku. Miał to być rewanż za skuteczne likwidowanie kaukaskich bojowników przez strzelców spod Biełuchy kierowanych do Czeczenii w mundurach milicji rosyjskiej.

Fenomenalną ostrość widzenia mieszkańców zapadłej wsi ałtajskiej próbowano wyjaśniać rozmaicie. Jedni uczeni dostrzegali w tym zjawisku pozytywną mutację, która nastąpiła w odizolowanej od świata społeczności. W górach nie da się zdobyć pożywienia, jeśli nie włada się dobrym wzrokiem. A tradycyjnym i wyłącznym zajęciem miejscowych jest polowanie. Na łowy chodzą również kobiety, co raczej jest zjawiskiem niespotykanym w innych rejonach Ałtaju. Warto przy tym wspomnieć, że niewiasty ajmaku ułagańskiego cieszą się szczególną renomą, która sprawia, że ustępują im z drogi mieszkańcy innych części Ałtaju – zarówno mężczyźni, jak i panie. Tutejsze białogłowy bowiem łatwo wpadają w gniew, a skutki ich rozsierdzenia bywają opłakane. W ogóle aborygeni tego regionu uchodzą za niezwykle krewkich; jak głosi podanie, dawniej skalpowali swoich przeciwników. Do dziś przez współziomków z pozostałych rejonów Ałtaju przezywani są Apaczami.

Natalia Ananiewa, ordynator oddziału ocznego Kliniki Krajowej w Barnaule ma na temat superwzroku jazulan własny pogląd, choć nie sprawia wrażenia, jakby była całkowicie przekonana o jego słuszności:

– To najprawdopodobniej wrodzony dar, mający związek z genami. Wpływa też na to sposób życia, gdyż na ostrość widzenia

oddziaływują pośrednio procesy przemiany materii. Plus ekologia: jakość wody i pożywienia. W Jazule jedno i drugie nie zawiera konserwantów...

Istnieje także hipoteza poniekąd kosmiczna: na obszar ajmaku ułagańskiego od prawie pół wieku spadają zużyte stopnie rakiet wystrzeliwanych z kosmodromu w Bajkonurze. Nad Ałtajem pojazdy kosmiczne pozbywają się pustych zbiorników po wykorzystanym paliwie.

Kosmicznym złom pada nie tylko w okolicach Ułaganu, ale także w ajmaku ust'kańskim i Kraju Ałtajskim. Lecący z nieba metal zabił dotąd jedynie krowę, a to dzięki bardzo słabemu zaludnieniu (na kilometr kwadratowy Republiki Ałtaj przypadają dwie osoby, w okolicach Ułaganu – grubo poniżej jednej). Tubylcy wspominają, że po cenniejsze fragmenty rakiet przyjeżdżały nawet specjalne ekipy poszukiwawcze.

– Otaczali pierścieniem jakiś teren i nikogo tam nie wpuszczali, ludziom grozili automatami – wspomina Grzegorz z Ułaganu. – Też kiedyś miałem taką przygodę... łowiłem ryby na Jeziorze Teleckim. Płynąłem łódką, był słoneczny dzień. Nagle po wodzie przemknął jakiś cień. Zadarłem głowę: z góry leciał jakiś wielki przedmiot, ale tak dziwnie spadał, jak liść w spokojnym powietrzu, kołysał się. Ja za wiosła i chodu na prawo, a on też w tym samym kierunku. To ja na lewo – i on na lewo. Gorąco mi się zrobiło, nie wiem, gdzie uciekać, żeby za mną nie poleciał. Wpadł do jeziora może dwadzieścia metrów ode mnie. To był taki wielki płat białej blachy. A woda to aż się zasyczała i wypłynęło pełno ugotowanych ryb, tylko kasakiem zbierać.

Niemało fragmentów rakiet trafiło w ręce miejscowej ludności. Zdarzały się przypadki trudnych do wygojenia oparzeń i chorób skóry, które dotknęły tych, co zbyt prędko przywłaszczyli sobie opadłe na ziemię szczątki „Wostoków”. Nie odstraszyło to innych od praktycznego wykorzystania arkuszy srebrzystej blachy do obicia domów czy nawet budowy sławojek, czyli

szaletów podwórzowych.

To bombardowanie kosmicznymi śmieciami kontrastuje z sielankową wizją Ałtaju jako krainy ekologicznie nieskażonej. Rzecz ciekawa – w Kraju Ałtajskim kawałki rakiet padają równie gęsto w rejonie tretjakowskim, jednak tamtejsza miejscowa ludność cierpi z tego powodu w sposób widoczny – liczba zachorowań na raka przewyższa tam znacznie normę, ludziom doskwierają także inne problemy zdrowotne, zdarza się wiele poronień. Niewiele lepiej jest w okolicach wsi Korgon położonej na zachód od Ust' Kan. Problem ten bada bardzo wnikliwie Barbara Profeta, szwajcarska Włoszka, która na Ałtaju pracuje już parę ładnych lat. A tymczasem w Jazule przypadki zachorowań na raka są bardzo rzadkie, ludzie chorują tu sporadycznie. Tłumaczenie, że wyjątkowo dobry wzrok jazulan jest wynikiem napromieniowania, czy to radiacją zawartą w kawałkach rakiet, czy też mającą swoje źródło w nieznanych, ukrytych w górach złożach, wydaje się także mocno wątpliwe. Chodziłem po wsi w bezksiężycową noc i gwarantuję, że doskonałe oczy jej mieszkańców nie świecą jednak w ciemnościach.

Mieszkańcy Jazuli wierzą, że ich nadzwyczajny wzrok to prezent (czy też spadek, następstwo – język ałtajski jest w niektórych wypadkach dość wieloznaczny) od ałmyśsa. We wsi spotkania z nim traktowane są jako coś powszedniego.

– Nocami podchodzą do wsi, straszą bydło, zaglądają w okna – mówi Kajmakow. – A baby wtedy piszczą, uch! – dorzuca i mruga filuternie. Emerytka Tułgat Kajakowa wynosi jakieś zawiniątko ze swojego aiłu i demonstruje mi jego zawartość – kłębek brudnobrązowej sierści.

– Ałmyśs to pozostawił, kiedy próbował porwać naszego konia – wyjaśnia. – Koń zarżał, wybiegliśmy z domu, ałmyśs wystraszył się i uciekł. Zahaczył przy tym o ogrodzenie i stąd ta pamiątka. A konia, po naradzie z szamanem, zdecydowaliśmy się zarżnąć. Tuszę zanieśliśmy na skraj lasu. Nazajutrz zniknęła.

Wierzę, że ałmys, posłaniec Eeze Ałtaj, przyjął przeznaczoną mu ofiarę. To wszystko przez to, że uczeni rozkopują nasze kurhany. Trwożą duchy... A te posyłają ałmysy, które nas niepokoją.

– Tak, my tu nie mamy lekko... – użala się Tułgat. Nagle kieruje wzrok gdzieś poza mnie i mówi: – Oho, mąż wraca z polowania, muszę przygotować kolację... – Po czym znika w aile. Oglądam się i w odległości może półtora kilometra widzę poruszającą się na łące plamkę. Według mnie równie dobrze mógłby być to ślubny mojej rozmówczyni, jak i ałmys czy nawet pasący się sarłyk, ale wiekowa jazulanka wiedziała – czy raczej widziała – swoje.

– Ałmys ma około dwóch metrów wzrostu, stąpa mocno, idąc wymachuje rękami, kiedy ucieka, wykonuje skoki – opowiada pastuch Genadiusz Matwiejew, pastuch z Jazuli. – Raz go nawet sfotografowałem, ale kiedy wywołałem film, akurat ta klatka okazała się prześwietlona.

Jakim to sposobem ałmysy zdołały przekazać swój „podarek” mieszkańcom Jazuli? Przecież często wśród Ałtajczyków – a także w Ałtaju Mongolskim – spotyka się opowieści o związkach, dobrowolnych lub wymuszonych, mężczyzn z ałmyskami albo ałmysek z ludźmi.

Słucham tych historii już po powrocie z Jazuli do Ułaganu, za gościnnym stołem rodziny Czu, popijając herbatę z tałkanem (prażonym i zmielonym jęczmieniem) i odrobiną białego mumio, substancji wydobytej ze skalnej rozpadliny, który uchodzi za panaceum na gwałtowny atak gorączki i, jak sądzę, nie zaszkodzi mi. Chyba przeziębilem się podczas przeprawy przez lodowaty Czułyszman. Ale nazajutrz zapowiadającą się chorobę jak ręką odjął: może to podziałał biały proszek, a może ułagański klimat. Wychodzę więc na sioło, aby odwiedzić Ludka Broza, czeskiego antropologa, który od kilku lat osiadł w Ułaganie. Zadomowił się tu na dobre i kiedy wyjeżdża do ojczyzny, zawsze anonsuje to w miejscowej gazecie Ułagannyng Sołundary wraz z informacją: Wracam w październiku. Ludek.

Ułaganowi wyraźnie ciasno jest w skąpej dolince, wierci się w niej, spięty mostami przerzuconymi nad Baszkausem i jego dopływami, wspina na najbliższe wzgórza. Gdzieniegdzie przypomina westernowe miasteczko, a wrażenie to wzmacniają liczne koniowiązy. Ich ałtajska nazwa brzmi czaky, rola zaś w świadomości tubylców dosyć znaczna. Koniowiąz to symbol koczowniczego świata, jego punkt orientacyjny. Nie wolno przenosić go z miejsca na miejsce, jest on również, podobnie jak pewne elementy ałtajskiego stroju, „odgromnikiem” złych spojrzeń. Gwiazda Polarna w przekładzie z języka ałtajskiego nosi miano Złoty Koniowiąz.

Na nagim stoku pobliskiej góry widać miejsce kultu sił natury i, nieco wyżej, prawosławny krzyż. Bardzo wielu mieszkańców Ułaganu to prawosławni chrześcijanie, przynajmniej nominalnie: w ajmaku było ponad trzydzieści cerkwi i jedynie w tej części Ałtaju rosyjskie misjonarstwo odniosło wyraźniejsze sukcesy.

– Ale my jesteśmy poganami – powiada Timur Czu, ojciec Andrzeja. – Ja tam pokłaniam się całej przyrodzie. Wiem, że w niej jest siła, która może mnie zmieść w jednej chwili i to wystarcza, abym oddawał cześć niebu nade mną i ziemi pode mną – dodaje i ochoczo wychyla kieliszek żubrówki. Jak na swoje siedemdziesiąt cztery lata wygląda niezwykle krzepko i dziarsko. Rodzina Czu odznacza się szczególną długowiecznością oraz znakomitą zdrowiem.

– To dlatego, że wśród naszych przodków był ałmys – Andrzej śmieje się, ale chyba tylko dlatego, że ma do czynienia z Europejczykiem. W rozmowie z rdzennym mieszkańcem Ałtaju zachowałby w tym wypadku powagę, jestem o tym przekonany. – Mojego ojca do tej pory przezywają „śnieżnym człowiekiem”. Podobno jego babka miała w rodzie jakiegoś ałmisa... Ojciec większość życia spędził z wyboru w śniegach, w lesie. Mówi, że tam się czuje jak u siebie w domu. Ja też poszedłem w jego ślady. Prawdę mówiąc, czasami przyłapuję się na myśli, że wolę nocować w jamie wygrzebanej w śniegu pod świerkiem, w głuchej tajdze, niż w domowych betach. A poza tym nasza rodzina wyglądam

ma taki nieałtajski.

Ałtajczycy należą do rasy żółtej, mają mongoidalne rysy twarzy, raczej mizerny wzrost i niezwykle gęste, czarne włosy – poza niektórymi mieszkańcami rejonu ułagańskiego. Ci bowiem są wysocy, postawni, rudzi, niebieskoocy, o cerze bladej, wręcz białej. Antropolodzy milczą na temat przyczyn tego fenomenu, tubylcy natomiast uważają, że jest to rezultat mezaliansu któregoś z ich przodków z ałmysem.

Kiedy pewnego dnia zawitałem do Ułaganu z grupą polskich turystów, Timur Czu podczas zaimprovizowanej z tej okazji biesiady nastawał, aby zostawić mu jasnowłosą Bożenę.

– Wydam ją za mojego krewniaka, ałmyś – twierdził.

Oczywiście żartował.

Tak sędę.

* * *

Opisaną szczegółowo drogę do Jazuli nie zawsze udaje się pokonać. Dostępu do wsi bronią nie tylko ekstremalne warunki terenowe, z którymi musi zmierzyć się podróżnik, ale także, zdaniem miejscowej ludności, moce niewidzialne, duchy czy też swoiste emanacje sił przyrody. Ałtajczycy oddają im cześć, bardzo uważając, aby nie narazić się tym prawdziwym gospodarzom bezludnych ostępów. Ich zdaniem lepiej z nimi nie zadzierać.

Przekonałem się o tym na własnej skórze. Mitsubishi L300, bus na podwoziu terenowego pajero, przygotowałem do drogi z zapobiegliwością konieczną na syberyjskich odludziach. Zaparkowałem go na noc w ułagańskim obejściu u Andrzeja, bo to właśnie on namówił mnie na jazdę do Jazuli i miał mi w niej towarzyszyć. Wyruszyliśmy o majowym świcie, lekko mroźnym; w nocy spadł świeży śnieg i, jak to bywa w Ułaganie o tej porze roku, około południa nie było już po nim śladu. W przeddzień

wyprawy Andrzej dwukrotnie upewniał się, czy mam w aucie wódkę. Potakiwałem, bowiem zawsze zabieram na ałtajskie eskapady kilka półtorażek (plastikowych butelek o pojemności półtora litra, po piwie lub wodzie mineralnej) znakomitego bijskiego samogonu. Nieraz przydawał się, choćby jako uniwersalny środek płatniczy. Po drodze mieliśmy zajechać na uroczysko nad Baszkausem, gdzie Andrzej miał swoją myśliwską izbuszkę. Zamierzał zabrać stamtąd strzelby. Mój przewodnik i jego brat Sasza, który zabrał się z nami, nalegali, abym przystanął na pierwszej przełęczy za wsią. Rośnie na niej szamańskie drzewo, limba obwieszona wotywnymi wstążkami, zwanymi dżalama. Tak Ałtajczycy składają hołd duchom natury, szczególnie potężnym w takich miejscach, jak przełęcze czy źródła. Zwyczaj nakazuje zatrzymać się na chwilę w takim punkcie, można również posilić się lub ugasić pragnienie (a nawet wypić trochę czegoś mocniejszego), zostawiając jednak odrobinę jadła czy napitku niewidocznym władcom tej ziemi. Mnie jednak, choć znałem ten obyczaj, spieszo było do Jazuli. Dość, że moi ałtajscy kompani wysiedli i przystanęli pod kam agacz – ja nie wyszedłem nawet z auta, a wreszcie, zniecierpliwiony, ponagliłem towarzyszy podróży klaksonem.

W chwilę później, gdy spojrzałem na deskę rozdzielczą auta, paliła się na niej czerwona kontrolka oznaczająca brak ładowania. Przyczyna okazała się elementarna: pękł pasek klinowy. Zastąpiłem go zapasowym; po chwili zjechaliśmy nad brzeg Baszkausu. Tu Andrzej poprosił mnie o wódkę; nieco zaskoczony, podałem mu butelkę. Przyjął ją ze zdziwieniem.

– Odką, odką – powtórzył. – Da, samogonka, charoszaja – wyjaśniłem po rosyjsku. Przeszła chyba minuta, zanim nieporozumienie wyjaśniło się ostatecznie.

Ałtajczycy na ogół znają język rosyjski, lingua universalis w przestrzeni prosowieckiej. Jedynie dzieci przedszkolne i niektórzy starcy nie władają nim. Na zapadłych wsiach spotyka się także bardzo słabo mówiących po rosyjsku dwudziestolatków, których edukacja przypadła na kryzysowe lata dziewięćdziesiąte

XX stulecia i odbywała się po łebkach. Ale wielu Ałtajczykom, zwłaszcza pochodzącym z głębszej prowincji, posługiwanie się mową Puszkina sprawia kłopoty. Na kresach kozzagackich słyszałem anegdotę o czabanie (pasterzu), który dokonując sprawunków w sklepie-barze, poprosił o dwadzieścia „czajca”. Ekspedient Rosjanin uznał, że chodzi o szklanki herbaty (po rosyjsku – czaj) i próbował wyperswadować klientowi to niezwykle żądanie dowodząc, iż pęknie po takiej ilości orzeźwiającego napoju, ale ten obstawał przy swoim. Dopiero przy pomocy obecnych w barze aborygenów okazało się, że przybyszowi z górskich pustkowi chodziło o jajka (rosyjskie jajca).

Jeśliby Andrzej użył ałtajskiej nazwy wysokowego napitku araczka, zapewne jeszcze przed wyjazdem sprawa byłaby jasna. On jednak mówił po rosyjsku, niefrasobliwie traktując przy tym pierwszą spółgłoskę. Skąd miałem wiedzieć, że jego izbuszka znajduje się po drugiej stronie rzeki? Tymczasem zaszła pomyłka, bazująca na istniejącym także w polszczyźnie podobieństwie wyrazów, które swego czasu wykorzystał producent „Bolsa”. Andrejowi chodziło o łódkę (łodka), gumowy ponton, bo Baszkaus jest wartki, zdradliwy, szeroki w tym miejscu na 30 metrów, a w dodatku wówczas płynęła nim lodowa kasza. Zawróciliśmy.

Nie licząc straconego w ten sposób czasu do Jazuli dotarliśmy bez większych przygód, ale gdy dwa dni później wracaliśmy z tej niezwykłej wsi, dokładnie na tej samej przełęczy, obok powiewającego błękitnymi i białymi skrawkami tkaniny kamagacz, znów zerwał się w aucie pasek klinowy. A przecież był całkiem nowy, przejechałem na nim, wprowadzie po trasie wymagającej prawie stałego używania niskich biegów, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów (część drogi pokonaliśmy konno)! Udało mi się jakoś zjechać na luzie do Ułaganu, a nawet dotoczyć do domu Andrzeja. U zaprzyjaźnionego barnaulczyka Olega, który co pewien czas zaopatrywał wioskę w towary i posiadał japońską ciężarówkę, znalazł się odpowiedni pasek,

założyłem go, lecz akumulator okazał się całkowicie rozładowany. Spieszyłem się, bo chciałem następnego dnia rano być na lotnisku w Barnaule, czekała mnie więc droga przeszło siedmiusetkilometrowa, a pora była już przedwieczorna. Zatem wyjąłem akumulator, podłączyłem na pół godziny do prądu i ponownie wstawiłem do auta. Silnik zagrał od razu – i w tym momencie Andrzej niechcący dotknął śrubokrętem masy... Błysnęło, zapachniało spalenizną i motor zamilkł. Na amen. Mitsubishi nie dało się uruchomić przez dwa dni, pomimo nieprzerwanego prawie konsylium wszystkich mieszkańców Ułaganu, mających jakie takie wyobrażenie na temat mechaniki samochodowej. Na trzeci dzień zdecydowałem się wreszcie dostawić samochód bliżej cywilizacji. Początkowo wydawało się, że zmieści się on w skrzyni ciężarówki Olega. Wymierzyliśmy odległość od podłogi do dachu, a potem wysokość mitsubishi: wychodziło, że gdy spuścimy z kół powietrze, to akurat zmieści się. W Ułaganie nie ma żadnej rampy, udaliśmy się więc w objazd po okolicy i w pobliżu przysiółka Czybila znaleźliśmy to, czego nam było trzeba. Poszły w ruch łopaty i po godzinie jeden stok niewielkiego wzgórka był podkopany na tyle, że tworzył coś w rodzaju rampy. Oleg podjechał pod nią, doholowawszy przedtem na wyniosłość mój samochód. Ułożyliśmy deski, odkręciliśmy wentyle: mitsubishi dało się wepchnąć do izotermicznej skrzyni ciężarówki... na jakiś metr, samochód potem beznadziejnie utknął. Miał profilowany dach, lekko wznoszący się od przodu ku tyłowi. Z kolei tylne drzwi ciężarówki Olega były wyposażone w grube uszczelki z twardego tworzywa, umocowane na ścianach i suficie skrzyni. Gdyby nie te parę centymetrów, bus zmieściłby się idealnie, jak dopasowany.

Nazajutrz przywiązałem swój samochód do ciężarówki Olega. Na zawsze zapamiętałem jej numer rejestracyjny: E 278 PR 22. A to dlatego, że wymalowany był z tyłu, na pace. Z odległości pięciu metrów wpatrywałem się w niego podczas całodniowej jazdy jak sroka w kość. Gdyby Oleg gwałtownie zahamował, musiałbym natychmiast reagować, żeby nie wbić się w tył ciężarówki. Obojętne były mi uroki ałtajskiego pejzażu:

widziałem tylko zabłocony kwadrat falistej blachy tuż przed sobą. Solidna stalowa lina, która nas łączyła, pękała siedmiokrotnie. Wreszcie dociągnęliśmy do Bijska – sześćset kilometrów przez cały Górny Ałtaj. Miałem dość, a w dodatku bijscy spece od elektroniki rozłożyli ręce. Wymontowałem z auta spalony komputer, ale nie zdołałem naprawić go czy wymienić w Barnaule i Nowosybirsku. W końcu zawiozłem go do Polski i po długich korowodach poradził sobie z nim specjalista spoza serwisu Mitsubishi.

Nie licząc perypetii, jakie przytrafiły się, kiedy w towarzystwie Sergiusza Siemionowa podążałem do Moskwy, był to jedyny podczas moich syberyjskich wojaży wypadek, aby samochód zawiódł mnie w stopniu aż tak poważnym.

Autor: Wojciech Grzelak

Fragment książki pt. „Szamani, Mumie i Ałmysy” (wyd. KOS, 2006)

Zdjęcie: [Citt](#)

Źródło: [Infra](#)

O AUTORZE

Wojciech Grzelak (ur. 1961), z wykształcenia filolog, wykonywał różne zawody. Autor wielu reportaży, artykułów naukowych i popularnonaukowych, a także opowiadań o rozmaitej tematyce. Publikuje w prasie polskiej, rosyjskiej, amerykańskiej i niemieckiej. Tłumaczy poezję, układa antologie wierszy, pisze również książeczki dla dzieci. Od 2001 roku dzieli swoje życie pomiędzy Beskidy i Ałtaj (Zachodnia Syberia), gdzie wykłada na uniwersytecie w Gornoałtajsku i angażuje się w sprawy syberyjskiej Polonii. Jego artykuł o ałtajskim Ałmysie wydrukowany na łamach „Nieznanego Świata” został uznany za publikację roku 2004. Za umacnianie wielopłaszczyznowych związków pomiędzy Polską i Syberią władze rosyjskie i organizacje biznesowe w Polsce nagrodziły autora licznymi wyróżnieniami; otrzymał m.in. statuetkę „Ambasador Polski”. Dużo podróżuje po Azji, najczęściej samochodem.